TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Stanisław Baliński
Jerzy Bazarewski
Janusz Laskowski
Zygmunt Nowakowski
Mieczysław Pruszyński
Józef Relidzyński
Stanisław Stroński

Vol. 3 Nr. 15 (120) Nowy Jork, 15go kwietnia — New York, 21, N. Y., April 15th, 1945 Cena 20 ct.



H. G. STRAUSS

sekretarz parlamentarny brytyjskiego Ministerstwa Planowania odbudowy Miast i Wsi, który ustąpił z gabinetu na znak protestu przeciw skrzywdzeniu Polski.

STANISŁAW STROŃSKI (*dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu*)

WARTOŚĆ AKTU WASZYNGTOŃSKIEGO

Budowa lepszego świata po tej wojnie, obwieszczona w Karcie Atlantyckiej, przyjętej aktem 1.1.1942 w Waszyngtonie przez wszystkie Narody Zjednoczone, zaczęła się zwołaniem 25.4.1945 zjazdu przedstawicieli tych narodów do San Francisco,.. z pominięciem Polski.

Trzeba tu przedewszystkiem o tem właśnie pamiętać;

1. że zwołanie tej narady jest przystąpieniem do wykonania art. 8go Karty Atlantyckiej,

2. że Polska należy do grona założycielskiego zespołu Narodów Zjednoczonych, w akcie w Waszyngtonie z 1. 1 42, w liczbie 26, która od tego czasu wyrosła do 45,

3. że imieniem Polski podpisał ten akt założycielski, a zarazem podstawę prawną zwołania narady w San Francisco, konstytucyjny i nawskroś prawny Rząd Polski.

Wobec tego powstaje pierwsze i brdzo ścisłe pytanie:

— Kto tu rości sobie prawo do wyłączenia z grona Narodów Zjednoczonych jednego z państw i jednego z rządów, które podpisały akt założycielski tego grona?

Prawa czterech rządów zapraszających, tj. St. Zj. Ameryki, W. Brytanji, Rosji i Chin, są w tym względzie żadne, nieistniejące, przez nikogo nigdy im nieudzielone. Niema prawnika na świecie, któryby mógł wykazać w sposób uczciwy i poważny choćby cień uprawnienia tych czterech do wyłączania innych pod aktem waszyngtońskim podpisanych z tego grona. Jest to tylko najjaskrawsze nadużycie i nic więcej.

Rzeczą główną i istotną jest tutaj to, że czterej zapraszający dowolnie wyłączyli jedno z państw, a rzeczą podrzędną jest pozór pod jakim to czynią.

Powiadają, że czekają na utworzenie, zamiast prawnego Rządu Polskiego, innego Rządu, nieprawnego, który w Moskwie sporządzi trzech panów, nie mających w sprawach Polski żdnych zgoła uprawnień przyzwoitych, p Mołotow z p. Harrimanem i z Sir Archibld Clarc Kerrem. Ale to samo możnaby powiedzieć każdemu innemu Rządowi podpisanemu pod Aktem Waszyngtońskim: czekamy na inny Rząd. Są to poprostu kpiny, a nie prawo, a zamiast powiedzenia prawdy wprost, wykręty, że się na coś czeka.

Taksamo bez znaczenia prawnego jest to, że Rząd Polski, uznawany przez wszystkie Narody Zjednoczone, oraz wogóle przez wszystkie państwa poza wrogiemi, nie pozostaje w stosunkch dyplomatycznych z Rosją, która je zerwała. Stanowisko jednego z pośród 45 Państw nie może rozstrzygać przeciw stanowisku wszystkich innych. Po naradzie w Dumbarton Oaks z września 1944, która miała przygotować zjazd w San Francisco, Rząd Polski, nie mający stosunków dyplomatycznych z Rosją, otrzymał, narówno z wszystkimi Rządami Narodów Zjednoczonych, opracowane tam wnioski i przesłał swe poprawki. I wogóle, w chwili pominięcia go w zaproszeniach do San Francisco, jedyny prawny Rząd Polski jest nadal uznawany przez wszystkie Państwa.

Deptanie prawa i obyczaju międzynarodowego jest tu bezprzykładne, a jeśli to ma być początek budowy lepszego świata, to.... ładnie się zaczyna.

Przedewszystkiem jednak trzeba dzisiaj odpowiedzieć na pytanie:

— Jeśli taka samowola jest możliwa wobec aktu waszyngtońskiego Narodów Zjednoczonych z 1.1.1942. co warte są akty podpisane w Waszyngtonie przez wszystkie Narody Zjednoczone?

STANISŁAW BALIŃSKI

SMUTEK ZWYCIĘSTWA

Na szczycie wszystkich zwycięstw, wśród fanfar i ogni
Co obwieszczają światu nieśmiertelność męstwa,
Wyrasta tajemniczo, ponad blask pochodni,
Czarny, płaczący laur. To — smutek zwycięstwa.

Próżno go unicestwić chce wzrok tryumfalny,
I próżno ręce ludzkie chcą wyrwać z korzeniem,
Nie można go usunąć. Bo — niematerjalny.
Bo — wschodzący nie ciałem i nie krwią, lecz cieniem.

Olbrzymieje nocami, jak widmo koszmarne,
Nad światem rozdzielonym na dwoje wieczyście,
I strąca swoje smutne, laurowe liście
Dla zwyciężonych — krwawe, dla zwycięzców — czarne.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

"...BOGU WSZECHMOGĄCEMU..."

(Drukowane w "Orle Białym" we Włoszech)

Londyn, w marcu.

Są czasem rzeczy tak proste, tak zwykłe, tak zautomatyzowane, że człowiek zapomina o nich właśnie wtedy, gdy są potrzebne, gdy ich brak, gdy rozpaczliwie szukamy światła czy oparcia w próżni. Nagle wyskakują w ciemności, jak ognisty znak i oślepiają nas na moment krótki. Mija sekunda, dwie, mija minuta, i te rzeczy te słowa zaczynają świecić jasno, równym płomieniem, oczy zaś nasze zaczynają widzieć.

Tego właśnie dziwnego wrażenia doznałem niedawno w rozmowie z generałem Andersem, który mówił ze mną o przysiędze, składanej przez każdego żołnierza. Generał umie słowa roty na pamięć. Tekst jest piękny:

"Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mojej, Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i Honoru Żołnierza Polskiego, Prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę mej Ojczyzny walczyć do ostatniego tchu w piersiach i wogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawdziwy żołnierz Polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męko. Amen."

Tak jest: amen! Zrobiło mi się — po raz pierwszy od dawna — jasno w duszy i jasno w głowie, gdy słuchałem tych olśniewających słów, z których bije fala wzruszenia. Bo też te słowa są wielkie a proste, prawdziwe i święte. Na chwilę milkną i gasną wszystkie inne słowa, zatem słowa małe, podłe, nikczemne, pełne zdrady i wyparcia się Ojczyzny. A słowa przysięgi płyną, tętnią, dzwonią, głusząc zdradę obcą i swoją.

Ta przysięga trwa. Ona jest ważna. Może od niej zwolnić żołnierza Bóg tylko. Ale On nie zwolni.

Z czynników ziemskich, świeckich, nikt i nic nie ma prawa zwolnienia żołnierza z przysięgi. On przysięgał tylko Bogu. Z roty wynika, że Ojczyzną jest jedynie i wyłącznie Polska, mianowicie Rzeczpospolita Polska, nie siedemnasta rzeczpospolita sowiecka. To pierwsze. Powtóre żołnierz przysięga na konstytucję, na honor, na prawo, przysięga, że będzie uległy Prezydentowi Rzeczypospolitej. Będzie wykonywał rozkazy swych dowódców, nie dowódców obcych. Będzie walczył za sprawę Ojczyzny do ostatniego tchu w piersiach.

To wszystko pozostaje w jaskrawej niezgodzie z uchwałami konferencji krymskiej. Jedno wyłącza drugie. Kto raz przysiągł Bogu, Bogu Jedynemu, nie może przysięgać Bogu innemu czy też djabłu. Żołnierz polski pozostawia to innym. Tym, którzy tylnymi schodami, od kuchni, wchodzą — wbrew oczywistym obowiązkom obywatelskim — do czynników obcych i konferują z nimi na szkodę Rzeczypospolitej. Żołnierz tego nie robi. On żyje i umiera tak, że wchodzi do nieba drzwiami od frontu.

Przestańmy na dzisiaj mówić o rzeczach złych, niegodziwych, o ludziach małych i nikczemnych. Dość! Dość! Stoją przed nami ogniste słowa przysięgi i świecą nam w mroku. Pokazują drogę, mianowicie drogę jedyną: "stać na straży Konstytucji i Honoru". Jest naszych żołnierzy pod



Generał Anders, Wódz Naczelny Armji Polskiej i generał Mark Clark dowódca armji sprzymierzonych we Włoszech.

bronią chyba ze sto pięćdziesiąt tysięcy. Cyfra wielka, jeśli ją porównamy np. ze stanem armji francuskiej. Oprócz tego lotnicy i marynarze. Oprócz tego po szpitalach wszelakich, czy w domach inwalidów także garść spora. Są również i w domach dla umysłowo chorych. Mniemam jednak, że nawet ci ostatni, doznaliby jakiegoś lucidum intervallum, jakiegoś momentu trzeźwości, gdyby ktoś powiedział im, że przysięga złożona Bogu jest nieważna.

Wracam do pytania, kto może tę przysięgę rozwiązać. Mołotow i ambasador angielski wraz z amerykańskim? Ejże, nie! Któż jeszcze? Czy votum zaufania, zdobyte w brytyjskiej Izbie Gmin, albo czy ratyfikacja krymskich uchwał przez senat w Waszyngtonie, mogą dokazać tego cudu, aby przekonać żołnierza polskiego, że dawna przysięga jest nieważna, i że teraz ma służyć Rzeczypospolitej sowieckiej, że ma słuchać praw cudzych i być uległym "prezydentowi" Bierutowi? Mam wrażenie, że na tę myśl roześmiałby się każdy żołnierz polski, nawet ten, który utracił ręce, nogi czy oczy. Potom walczył, abym teraz wyrzekał się celu owej walki? Nonsens!

Są państwa, które strzegąc pilnie każdej litery własnej konstytucji, sądzą, że konstytucję cudzą można podeptać. Pomyłka, gruba pomyłka! Prawa moralne, choćby zlekceważone, choćby pogwałcone, przecież stanowią przeszkodę wielką, której nie da się ominąć. Tak jest właśnie z tą przysięgą. Czy można żołnierza polskiego przemocą zrobić żołnierzem niepolskim? Próbowali tego Niemcy z wiadomym skutkiem. Próbowali tego i inni, również ze skutkiem wiadomym.

Przecież ten żołnierz, który już był w Rosji, nie wróci do niej nigdy. — Przecież ten żołnierz, który, wcielony przemocą do armji niemieckiej, służy dzisiaj w armii polskiej, także nie pójdzie do Rosji, wiedząc dobrze, co go tam czeka. Cóż więc zrobić z tym żołnierzem, który karnie i twardo stoi przy sztandarze polskim? Czy to można załatwić padczas jednej konferencji krymskiej? Nie, tego bez nas, bez naszej woli załatwić nie można.

I to jest pierwszy kamień na drodze, obranej przez wielką trójkę. Wiąże się z tą przeszkodą wiele, wiele innych — powiedzmy łagodnie — kłopotów, o których teraz nie chcę mówić. Ale jest i przeszkoda druga. Przypuśćmy, że Mołotow jutro zamianuje "rząd" polski i że ambasador brytyjski wraz z ambasadorem amerykańskim przyklasną z zachwytem składowi teg rządu. Nominacja i aprobata jest bez znaczenia. My mamy rząd, mianowicie rząd polski. I my mamy prezydenta, mianowicie prezydenta polskiego. My wszyscy jesteśmy obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej.

Rząd nasz może i to nawet w krótkim czasie, na przekór wszystkim poprzednim zapewnieniom i gwarancjom, przestać być uznawany przez sojuszników. Sądzę, że to właśnie da mu trwały fundament. Straciwszy kredyt w funtach angielskich, zyska kredyt ważniejszy, bo moralny. Co więcej, zyska miłość powszechną Polaków. Niech sobie ów pseudo "rząd" z nominacji rosyjskiej i z aprobaty brytyjsko-amrykańskiej rezyduje nawet na Wawelu, nie zmieni to jego sytuacji moralnej: pozostanie zawsze tym, czym jest, więc fałszem. Natomiast prawdziwy rząd polski może rezydować w jednym pokoju, na poddaszu, może posługiwać się najtańszymi środkami lokomocji, jego członkowie mogą chodzić w podartych butach, ale pozostanie on zawsze rządem polskim. Im w większym będzie niedostatku materialnym oraz im godniej potrafi ten niedostatek, tę biedę znosić, tym bardziej wzrośnie jego prawo moralne.

Józef Piłsudski był znakomitym psychologiem. Uważał on, że wstyd bywa czasami poważnym motorem. Sądzę, że gdyby Piłsudski żył dzisiaj, umiałby on podsycić uczucie wstydu, którego doznają obecnie nasi sprzymierzeńcy. Niestety, ludzie mali, o których na dzisiaj postanowiłem zapomnieć, a którzy przecież sami narzucają się pamięci, dołożyli wszystkich starań, aby zmniejszyć ów wstyd u naszych sojuszników. Ale na przekór swym wysiłkom nie potrafili dokazać tego, aby wstyd ów zagasł całkowicie. On jest. On występuje w każdej rozmowie naszej ze znajomymi Anglikami. On występuje nawet w najbardziej niegodziwych artykułach prasy tutejszej, która chce zagłuszyć wszelki głos sumienia. Im bardziej będziemy karni, spokojni, zrównoważeni, tym bardziej wstyd ów wzrośnie.

Sprawa zlikwidowania Polski nie jest tak łatwa, jakby się zdawać mogło krymskim optymistom. Nawet oni nie mają żadnego planu działania, nawet oni nie wiedzą, co począć z masą żołnierza, co z inwalidami, co z dziećmi polskimi, co z naszą całą tu robotą, co z rządem. Oczywiście łatwo jest wyrzec się wszystkich zobowiązań, wymówić w jednym dniu dom i kredyt, kazać oddać klucze nasłanym ze wschodu reprezentantom "rządu" polskiego, łatwo odwrócić się plecami do całego zagadnienia, ale nie łatwo je zlikwidować za jednym zamachem. Polska to jest wielka rzecz.

Również nie da się zlikwidować Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej Jedynego.

Czyżby z tego wynikało, że wierzę w cudy? Tak. Generał Anders, z którym miałem zaszczyt długo rozmawiać, rzekł w pewnej chwili, że dzieją się cuda.

Ale poza tym rozmowa nasza była trzeźwa, pozbawiona mistycyzmu. Zasadniczy jej trzon stanowiła dla mnie przysięga. Przyglądałem się ośmiu gwiazdom, które zdobią pierś generała, oznaczając ran osiem, odniesionych w walce o Polskę. W walce do ostatniego tchu w piersiach.

On ma prawo umieć na pamięć tę przysięgę, która mówi, że trzeba "być wiernym ojczyźnie mojej, Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i Honoru Żołnierza Polskiego, Prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym..."

Tę przysięgę składa żołnierz polski tylko Bogu i tylko Bóg może go zwolnić od niej. Ale ani żołnierz polski nie pragnie być zwolniony z tej przysięgi, ani Bóg go nie zwolni. Amen.

W POPRZEDNIM 14 (119) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

JÓZEF RELIDZYŃSKI

Koledze i Przyjacielowi
Por. Henrykowi Janiszowskiemu

W CIENIU OLIWKI

I.

Gdy z gór liliowych Galilei,
Wiosną pachnący, wiatr powieje
i w południowej sennej ciszy
Soczyste łąki rozkołysze;
To znów z bukietów drzew kwitnących,
Jak rój motyli, płatki strąca, —

Gdy pieszczotliwe słońce świeci
W różowej mgle migdałów kwiecia,
Jak uśmiech lic zarumienionych;
W szmaaragdzie trawy anemony
Szkarłatne płoną i bez liku
Lśnią ametystem fiołków dzikich, —

Kiedy w jeziora tafli srebrnej
Obłok odbija się podniebny,
Albo kobiety cień, idącej
Z dzbanem na głowie — lat tysięcy
Dziedzictwem wdzięcznym w chyżym czasie,
Co przecież tutaj zastygł, zda się, —

W tej ciszy, którą czasem jeno
Zamąci okrzyk beduina,
Co na wielbłądzie, zadumany,
Jedzie na czele karawany,
Lub — bibljnego kóz pasterza,
Gdy wolno za swym stadem zmierza, —

W złocistym kurzu polnej drogi,
Wśród ludzi prostych, chat ubogich,
Kamieni, w których przeszłość drzemie, —
W tej woni słodkiej jak wspomnienie
Lat, które ledwie się pamięta, — —
Czuję cię, ziemio, Ziemio Święta!

Czuję Cię, Chryste, jakże blisko —
Ślad stóp Twych — rzekłbyś — się odciska
Obok oliwki tej, gdzie siadłem,
Gdzieś kroczył może i — pobladły —
Siadywał na tym samym głazie;
Ten sam blask oczy Twoje raził!......

II.

W starej oliwki cieniu ostrym —
Tych z Gethsemani może siostry,
Jesteś mi, Chryste, żywszy, bliższy,
Niźli w bazylik świetnym blichtrze,
Wśród czerni mnichów i lamp złotych,
Rubinów szklących się migotem!...

Widzę Cię, jak z rozwianym włosem
I gorejącym wzrokiem, bosy,
W śnieżystej szacie tymi ścieżki,
Z Dobrą Nowiną — Gość Niebieski,
Wędrujesz, a Twe nagie stopy
Owiewa miodnym wiatr hyzopem.

Myślę o Twojem Jeruzalem
I serce m się ściska żalem,
I łzy do oczu mi się cisną...
Nie nad nieszczęsną mą Ojczyzną
I nie nad dolą mą tułaczą, —
Nad Tobą, Synu Boży, płaczę!

Bo cóż, o Chryste, się zmieniło
Odkądś złożony był w mogiłę,
Umęczon srodze, iżby nas tu
Duch owiał uczni Twych dwunastu
I aby ludzkość z Męki Krzyża
Twego wcąż w niebo rosła wyżej?...

Dwadzieścia oto mija wieków,
A zbrodni ciągle kres daleki;
Tłum faryzeuszów się nie zmniejsza,
Herody coraz okrutniejsze,

I gdybyś dziś się znowu wcielił,
O kwiecie wonny Galilei, —
Znów byś dźwignięty był wysoko,
Na krzyż — ponury krzyż epoki —
Na szubienicę Antychrysta.
Co po świat sięga, Chryste, Chryste!...

Ziemia Święta, Wiosna, 1945.

JERZY BAZAREWSKI

"WESELE KRAKOWSKIE" W FORLI

(Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego")

Włochy w połowie marca

Przed kilku dniami, ukazały się na ścianach domów przyfrontowej Forli, afisze, zawiadamiające że: "Naafi presents ENSA ENTERTAINMENTS for H. M. FORCES, ANGLO-POLISH BALLET with Alicja HALAMA, Czesław KONARSKI and full Corps de Ballet of 40 artists".

Dalej zaś że na program złożą się: LES SYLPHIDES, GRAND DIVERTISSEMENT and CRACOW WEDDING.

Przedstawienie rozpoczyna się o osiemnastej trzydzieści. Mam sporo czasu, postanawiam odnaleźć Halamę i Konarskiego, pomówić z nimi.

Tego dnia, pierwszy raz w życiu, przeżyłem wiele dziwnych uczuć. W hotelu ENSA'y zastałem tylko panią Alicję. Konarskiego nie było. Była właśnie popołudniowa cup of tea. Halama bardzo się zażenowała: "Ja proszę pana nie umiem tak ładnie mówić.... jak trzeba dla prasy... może raczej Czesław... ja... no cóż tańczę.. i to wszystko". Błyskawicznie pomyślałem: nie tędy droga młody a zachwycony piękną buzią człowieku. — Trzeba było zacząć boczną drogą: — "Widziałem dziś panią w teatrze w Faenzie, na przedstawieniu naszego Teatru Dramatycznego. Podobała się pani "Zemsta"?" Tancerce zaśmiały się oczy. Poprosiła żebym usiadł: — "Wspaniałe przedstawienie. Wasz korpus ma świetny teatr... W porównaniu z tem co widziałam w Anglji.. ale.... nie ma właściwie żadnego porównania.... bardzo, bardzo mi się podobało..." "Czy pozwoli pani że i o tem wspomnę pisząc o was?" zapytałem. Na piękne policzki znowu wystąpiły rumieńce: "Doprawdy.... przecież ja nie jestem żadnym autorytetem..."

Pomyślałem nad tym "autorytetem" słuchając przyciszonych zwierzeń jakiegoś nowozelandzkiego majora, który siedział koło mnie w czasie przedstawienia baletu. Był właśnie piąty numer Grand Divertissementu: Schubertiana. Na scenie, Halama tańczyła z Konarskim. Major błyszcząc okularami, powiedział jak przez sen: "Ona jest tak piękna i tak bosko tańczy... że wobec tego ogromu piękna.... cały mój wielki majątek w Nowej Zelandji... nie wiele chyba jest wart..."

Ale, zanim doszło do przedstawienia, miałem możność z "Alicją z krainy czarów" jak pomyślałem patrząc na artystkę — miałem możność z nią pomówić. W przytulnym hallu było brdzo po domowemu. Pierwsze lody prysły bardzo szbko. Pani Alicja oswoiła się, Dzieje swoje od wyjazdu z Polski opowiedziała stylem supertelegraficznym:"Ano cóż... po przyjeździe do Francji, trochę nudziłam się w Paryżu. Bardzo byłam przygnębiona, nie wiedziałam co się dzieje z siostrami. Ta wojna spadła jak topór. Ale powoli poodnajdywałam swoich. Loda znalazła się w Szwajcarji, Zizi w Krakowie. Potem — pan wie. Francja upadła. Przywędrowałam do Anglji. Postanowiliśmy z Konarskim coś robić. Cóż my możemy robić? tylko tańczyć... Skleciliśmy więc zespół i tak się zaczęło. Konarski pracował za wszystkich. Występowaliśmy w wielu miastach, dużo przedstawień daliśmy dla wojska. Teraz jesteśmy tutaj. Na okres objazdu po Włoszech współpracujemy z ENSĄ. Praca jest ciężka... Przyznam się szczerze że trochę się boję wojny.... ciągle tak blisko jesteś my frontu.... ale dotąd nie spotkała nas żadna wojenna przykrość..."

W chwili gdy udało mi się wycyganić jedyną fotogrfię jaka artystce została, okazało się, że trzeba iść do teatru. Nie było jeszcze szóstej, ale przed Popolo Teatro stała wijąc się razem ze skręcającą ulicą kilometrowa kolejka. Ponieważ Forli pełne jest Anglików (jak przystało na miasto zajęte przez wojska Ósmej Armji) Polacy w kolejce stanowili najwyższą połowę publiczności. Ta połowa znajdowała się bliżej drzwi. Trzeba było przez te jedyne drzwi wejść. Halama nieśmiało zaczęła się przeciskać. Wówczas jakiś żołnierz z żubrem Kresowej na ramieniu zapotestował: "tu niema lipy proszę pani... do kolejki jeśli łaska" W oczach Alicji dostrzegłem wzruszającą bezradność: "Ja proszę pana.... tu-



Alicja Halama i Czesław Konarski

taj..." Ale żołnierz nie dał dojść do słowa: "Niech pani stanie na końcu kolejki i koniec..." Musiałem pomagać: "Jeśli ta pani stanie na końcu kolejki, pan nie pójdzie dziś do teatru bo nie będzie przedstawienia.." "A pan skąd taki mądry?" oburzył się wyznawca porządku. "Ta pani to Alicja Halama..." powiedziałem triumfalnym tonem. Żołnierz omal nie upadł z wrażenia: "O! ja bardzo przepraszam... ja..." Okey — powiedziałem. Weszliśmy szybko bo natychmiast zaczęły się owacje.

Przyleciał zadyszany Konarski, — który w krótkiej ze mną rozmowie, potwierdził "zeznania" pani Alicji, poprosił o numer pisma w którym ukaże się mój feljeton i ... musiałem już iść aby zatroszczyć się o miejsce, bo właśnie otworzono drzwi i na bezpłatne przedstawienie baletu runęły potężne liczebnie oddziały wosk Sprzymierzonych.

Fortepian srebrnie rozsypał pierwsze dźwięki. Polonez Chopina. Nowozelandzki major, z prawej strony poprawił okulary. Młody chłopiec z naszej Dywizji powiedział cichutko:— tutaj wolno grać Chopina... Chłopiec niedawno przybył do nas z niemieckiej armji. Zabrali go do wrażego wojska z Torunia. Teraz, po przejściu przez wiele piekieł — znowu, jak kiedyś w Polsce, mógł słuchać Chopina. Pomyślałem o książce "Swastyka nad Warszawą", o tragicznym opisie Słodzińskiego: koncert Chopinowski w okupowanej przez Niemców Warszawie.

Potem był pierwszy numer programu — Les Sylphides. Na scenie byli angielscy tancerze i angielskie tancerki. Tańczyli dobrze, ale polska publiczność słyszała przedewszystkiem muzykę. Grali przecież Chopina.

W Grand Divertissement, na scenę wyskoczył jak z procy doskonały trzeci Polak zespołu Jan Lawski. "Polish Hussar is very nice" powiedział rozentuzjazmowany Nowozelandczyk. — "Niewąski chłopak" dodał Torunianin.

Potem urocza Shelagh Davison odtańczyła fragment z "Giocondy" Ponchiellego, a Eunice Gibson pięknie wyglądała w Chisholma "Shen Trewes". Taniec szkocki "Grotine" z wdziękiem wykonała Oenone Talbot.

Buchnęły brawa jak pociski armatnie. Popłynęła muzyka Schuberta. Na scenę wpłynęła Alicja Halama z Czesławem Konarskim. Na sali zapanowała niczem niezamącona cisza. — Dwójka Polaków tańczyła dla bezmała tysiąca żołnierzy frontowych, ludzi mało czułych na śmierć, ludzi którzy od wielu lat unikali śmierci na swoich bojowych odcinkach, ludzi na których śmierć nie robi wielkiego wrażenia. Teraz ci ludzie byli zahypnotyzowani. Patrzyli na niedoścignione piękno i wspaniale tańczącą Polkę.

Pilnie studjowane programy zapowiedziały "Matthew is Dead" albo bardziej po swojsku: umarł Maciek umarł. Tutaj Konarski zabłysnął nie tylko jako tancerz wielkiej klasy, ale i jako baletmistrz. Ze zdumieniem patrzyła polska publiczność na rezultaty jego pracy: Anglicy okazali się najprawdziwszmi polskimi chłopami, a Angielki w zabójczych spódnicach były bardziej oryginalne... niż prawdziwe polskie Kasie wioskowe.

Przwrócony do życia muzyką Maciek, porwał salę, zmusił do huraganu szalonych oklasków.

Przedstawienie zakończyło się przepięknem "Weselem Krakowskiem", odtańczonem do muzyki zręcznie skompilowanej przez T. Glińskiego.

Kiedy o podłogę uderzały ostatnie tupnięcia Oberka, żołnierze nie doczekawszy końca zabrzmieli głośnymi na całe miasto brawami.

Słyszało się okrzyki: "Niech żyje Polska!"

"Jakże piękne są polskie stroje ludowe!" krzyczała sala.

Długo tego wieczoru nie zapomnimy.

Wracając z przedstawienia, zadarłem do góry głowę aby popatrzeć na mknące w stronę niemieckich stanowisk aljanckie bombowce. Znowu była dokoła wojna. Grzmiała artylerja. Chopina i panią Alicję zastąpiła proza codzienności.



Dzieci, walczące w powstaniu warszawskim.

JANUSZ LASKOWSKI

Copyright by Janusz Laskowski Polish Navy 1945

GOŁĄB NIE USIADŁ

(Od Korespondenta Morskiego "Tygodnika Polskiego")

Na pokładzie O. R. P. "CONRAD"
dn. 2go lutego, 1945 r.

Redę, n której stoi O. R. P. "Conrad", powitałem tak, jak się wita miejsca znane z dzieciństwa, — powitałem tak, jak się wita krajobrazy bliskie, a całkiem inne, niż ich odbitki w pamięci własnej. Redę tę znam od dość dawna i nie przypuszczałem, aby mogła wyglądać tak, jak wygląda. Za "moich" czasów wyglądała inaczej.

Było to przeszło pół roku temu. Przyjechałem do portu, aby na "Ślązaku" przejść przez La Manche i zaokrętować się na "Krakowiaka". Oficer prasowy w porcie dał mi motorówkę i odbiliśmy od mola.

— "Ślązak" stoi na redzie. — objaśniono sternika motorówki.

I pojechaliśmy.

Na redzie było "tłoczno". Z portu wychodziły barki desantowe i statki, przewożące wojsko. Okręty stały na kotwicach. Pancernik — olbrzym wchodził przez boom'y, kilka krążowników przygotowywało się do wyjścia. Mniejsze i większe kontrtrpedowce wchodzily i wychodziły z portu. I wiele stało na kotwicy. Kontrtorpedowców tej samej klasy, co "Ślązak" było bardzo wiele. Wówczas nie znałem jeszcze numeru "Ślązaka", sternik motorówki też nie znał. Szukaliśmy więc polskiej bandery wśród wielu bliźniaczych okrętów.

Po dwu godzinach stanąłem na pokładzie "Ślązaka".

Dzisiaj reda portowa jest pusta. Motorówki i kutry rzadko chodzą wzdłuż portu. Statków z wojskiem nie widzę. Widzę tylko niezmiennie w tem samem miejscu zakotwiczony statek-bazę, obsługującą okręty na redzie.

Reda portowa jest pusta... Pusta do tego stopnia, że obojętne było dla "Conrada", gdzie ma rzucić kotwicę. Bliżej, czy dalej — wszystko jedno. Dawniej zaś — "Krakowiak" — pilnie wybierał sobie miejsce, stając tak, aby nań dryfowali sąsiedzi.

Tak to było w lecie roku 1944-go na wielkiej redzie portowej wielkiego portu angielskiego.

O. R. P. "Conrad" przyszedł tu po krótkich próbach w morzu. Bo O. R. P. "Conrad" w chwili obecnej zakończył swój zasadniczy remont. — Wprawdzie okręt ten w okresie inwazji pełnił służbę pod brzegami Francji, jesienią jednak, kiedy przekazany został Polskiej Marynarce Wojennej, — wycofano go i poddano remontowi. To też teraz wszystko trzeba sprawdzać po kolei. Czy działa są w porządku, czy maszyny nie nawalają, czy wreszcie niezliczona ilość czynników, składających się na pełnowartościową pracę okrętu jest dostatecznie zharmonizowana ze sobą?



Janusz Laskowski na "Conradzie"

Tak się złożyło, że wyszedłem na "Conradzie" w morze przy jego pierwszem wyjściu dla przeprowadzenia prób.

"Conrad" ma pewną wspólną cechę z redą naszego portu. Przynajmniej dla mnie. Obraz okrętu, jaki sobie urobiłem przez nieustanne, 5cio miesięczne pływanie jest inny, niż to, co na "Conradzie" spotykam. I trudno mi jest przyzwyczaić się.

Dotychczas pływałem na okrętach mniejszych od "Conrada". Myślę, że to było przyczyną mego szybkiego zgrywania się z okrętem. "Conrad" zaś jest poprostu za wielki, abym w ciągu kilku dni czuł się na nim całkiem swojsko. I jest jeszcze jeden powód. "Conrad" w chwili obecnej nie bierze udziału w bojach. Załogi tego okrętu nie łączą mocną nicią wzajemnego porozumienia dnie bojow stoczonych przez ten właśnie okręt. A to jest ważny moment w życiu marynarza. Nie przypuszczałem nawet, że aż tak ważny.

Widać to na pokładzie i na pomieszczeniach marynarskich. I widać było podczas naszego wyjśca w morze.

Jaka jst załoga O. R. P. "Conrad"?

Trzonem jej są marynarze z Polski. Dokoła tego trzonu wyrosły liczne odgałęzienia. Przeważają marynarze, którzy przeszli w swoim czasie deportację wgłąb Związku Sowieckiego, więzienia, głód, wszy i wszystkie właściwości nieznanego światu zachodniemu życia w wielkim kraju, znaczonym na mapach nie imieniem, lecz symbolem "Z. S. R. R."

Obok nich jest sporo ochotników-Polaków dezerterów, jeśli tym słowem brzydkim można nazwać tych chłopaków z wojska niemieckiego, do którego szeregów brutalnie wrzuciło ich rozwielmożnione bezpawie XX wieku.

Skład załóg innych polskich okrętów jest niemal z reguły inny. Na innych okrętach trzonem podstawowm są Polacy z Francji. Oni nadają ton życiu okrętowemu, oni czują się na każdym z okrętów najpewniej. I dokoła nich obraca się życie "towarzyskie" okrętu.

Polacy z Francji nie lubią zmieniać okrętów. Naprzykład na "Krakowiaku" stanowili oni niemal 40 procent załogi i pływali na tym okręcie od pierwszych dni jego istnienia. Zgrane to było bractwo, że aż przyjemnie było patrzeć.

Zgrali się w harmonijny zespół podczas ciężkich chwil na La Manche, kiedy — był taki wypadek — ataki

lotnictwa niemieckiego następowały tak często jeden po drugim, że nie zawsze można było obserwowć losy odlatujących somolotów nieprzyjacielskich.

Załoga O. R. P. "Conrad" nie przeżywała takich momentów. I chociaż na tym okręcie jest wielu marynarzy, pływającch od początku wojny, to jednak nie na "Conradzie" patrzyli oni w twarz niebezpieczeństwu.

I zdaje się, że to jest istotny powód, dla którego O. R. P. "Conrad" odbiega w mojem pojęciu od obrazu, jaki sobie wyrobiłem, pływając na nich.

O. R. P. "Conrad" stoi dzisiaj w przededniu wielkich ćwiczeń morskich. I przyznam się, że nawet rad jestem z tego, iż będę podczas nich na "Conradzie". Będzie to bowiem dla mnie okazja obserwowania momentów zgrywania ze sobą załogi.

A potem?

— Może i "Conrad" będzie miał okazję wsławienia polskiej bandery?

Załoga jest tego pewna. Utwierdził ją w tem przekonaniu wypadek, który miał miejsce przed kilku dniami podczas przeprowadzenia prób na morzu.

Dowódca zarządził alarm bojowy. Oczywiście wszyscy wiedzieli dobrze, że niema żadnego niebezpieczeństwa i że chodzi jedynie o sprawdzenie szybkości zajmowania stanowisk bojowych. O.R.P. "Conrad" jest pod tym względem okrętem niewątpliwie bardzo sprawnym, — i załoga znalazła się w mig na stanowiskach.

Dlaczego gołąb, — zwykły gołąb dziki — znalazł się aż tak daleko od brzegów — nie rozumiem. Dość, że zaczął krążyć nad "Conradem", zdradzając chęć odpoczynku na pokładzie naszego okrętu.

— Siądzie, czy nie?

— Spójrz — zaczął lądować...

Gołąb znurkował niemal do powierzchni morza, świecą wzbił się do wysokości masztu i już przysiadał na nim, kiedy odezwało się działo główne.

Oczywiście zmęczony ptak odleciał, aby długo krążyć nad okrętem. I znowu nurkował do powierzchni morza, znowu wzbijał się świecą aż pod czubek masztu, ale nie "przysiadł się" do nas, bo go płoszył huk artylerji krążownika.

— Będziemy mieli wojnę—stwierdził z najgłębszem przekonaniem sygnalista, którego dobrze znam z "Krakowiaka".

Nie zaprzeczył mu nikt. Bo przecież, jeżeli gołąb — ptak pokoju — nie zdecydował się usiąść na okręcie, chyba dla każdego szanującego się marynarza — a ten musi być przesądny—jasne jest, że O. R. P. "Conrad" będzie brał udział w wielkiej akcji.

Co do osoby Waszego korespondenta morskiego wśród braci marynarskiej ustaliło się przekonanie, iż wystarcza, aby stanął na którymkolwiek z okrętów, a akcja bojowa tego okrętu kończy się, jak nożem uciął. Marynarz z "Błyskawicy", pływający dzisiaj na "Conradzie" a mój dobry znajomy, zapytał mnie wczoraj:

— Czy pan długo u nas będzie?

— Nie wiem, ale raczej tak.

— To dobrze.

— Dlaczego?

— Bo pan przynosi szczęście okrętom. A "Conrad" już pewno wkrótce pójdzie do akcji.

— Niby dlaczego ma właśnie wkrótce iść do akcji? Niemcy teraz nie wychodzą w morze?

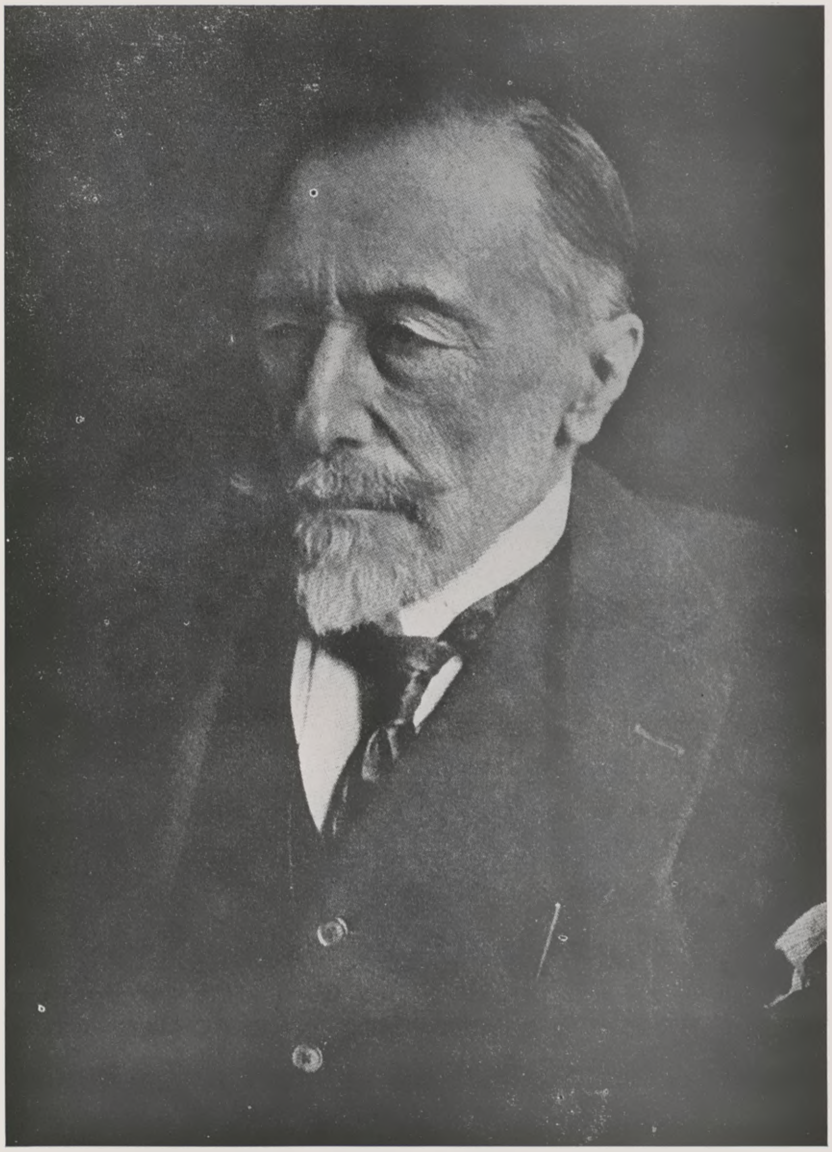
— Widział pan tego gołębia? Nie usiadł na pokładzie "Conrada"..

— Bośmy strzelali...

— To wszystko jedno. Nie usiadł.

Przy takiem rozumowaniu zostaje tylko złożyć załodze "Conrada" życzenia bojowego szczęścia; życzenia, pod któremi napewno podpisze się każdy Polak. I oczywiście pozostaje nam wszystkim cieszyć się, że Polskiej Marynarce Wojennej przybył krążownik, którego obecne próby wypadają pomyślnie pod każdym względem.

— Niechże szczęśliwie idzie na swoje ćwiczenia morskie, po których niech mu dane będzie szczęśliwe toczyć boje.



JOSEPH CONRAD

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

HISTORJA JEDNEGO AEROKLUBU

Pamiętny to jest dla mnie wieczór, gdy po skończeniu pięciu szkół lotniczych w Anglji i Ameryce wreszcie londyńskim pociągiem podmiejskim dojeżdżałem do stacyjki w hrabstwie Mampshire celem zameldowania się w operacyjnym polskim dywizjonie. W armji lądowej przyjazd do nowego oddziału oznaczał zwykle przejście przez gehennę kancelarji, odpraw, zbiórek, raportów. Teraz samochód wyrzucił mnie przed dużym barakiem dywizjonowego kasyna. Na kominku palił się tam ogień — wieczór był jesienny, na dworze wilgotno i chłodno w zacisznym ciepłym barze dźwięczało wesoło szkło, kilku dystyngowanych starszych panów oraz grono młodzieńców w granatowych ubraniach rozmawiało półgłosem. Siwowłosy pan o czerstwej twarzy i młodem spojrzeniu powitał mnie poprostu zapytaniem: Czego się napiję? Towarzyska swobodna rozmowa potoczyła się dalej. Zauważyłem, że siwowłosy starszy pan nosi odznaki stopnia polskiego majora oraz angielskiego podpułkownika, oraz że z młodymi podporucznikami jest po imieniu. Jeszcze dwa lata temu gdy opuszczałem armję, było w niej powszechnie przyjętem, że porucznik z kapitanem, choćby mieli za sobą kilka lat wspólnej służby, mówili sobie oficjalnie "przez pan". Rozejrzałem się po sali: zielone stoliki, wygodne klubowe fotele, miły nastrój nieróbstwa, usłużny barman w białym kitlu. I to ma być odział fontowy, walczący? Wieczór minął przyjemnie. Gdy rozchodziliśmy się spać, zagadnąłem któregoś z nowych kolegów: "O której godzinie jutro rano będę mógł się zameldować przy raporcie u dowódcy dywizjonu?" Otrzymałem odpowiedź:

— Przecież pan już poznał majora Orlińskiego, to ten który panu postawił pierwsze whisky. Pozatem u nas raportów nie ma, ani zbiórek, ani defilad. No i śpimy wszyscy do południa.

Miałem miłe wrażenie, że nie zostałem przydzielony do oddziału wojskowego na froncie, ale że poprostu przyjęto mnie do miłego klubu. Potem przekonałem się, że nie jest to zwykły klub, ale, po pierwsze, klub nocny, po drugie, aeroklub. Program dnia członków był bowiem następujący.— Wszyscy spali do obiadu. Popołudnie spędzało się bez określonego zajęcia. Natomiast wieczorem klub się ożywiał, członkowie zjawiali się w kasynie i czekali jednego z dwu krótkich ale magicznych zdań: "Stand down" lub "stand by". Kto je pierwszy wymówił? Nigdy tego nie mogłem zbadać. W każdym razie kto tylko pierwszy je usłyszał komunikował je natychmiast sąsiadom jak przy zabawie w cenzurowanego. Gdy padło słowo "stand down" wszyscy się rozchodzili jedni szli do baru, inni zasiadali do bridge'a, inni jeszcze wsiadali do samochodów i udawali się do pubu w pobliskim miasteczku. Gdy padło słowo "stand by" członkowie klubu zbierali się w specjalnej obwieszonej mapami sali klubowej, zapadali w wygodne fotele, wyciągali wysoko nogi przed siebie i słuchal plotek, które im znosili przyjaciele klubu: na temat pogody, co słychać w Niemczech, jak się miewają armje Montgomery'ego. To posiedzenie wieczorne aeroklubu nazywano z angielska Briefingiem. Potem ktoś z członków klubu od czasu do czasu wychodził z pokoju, wsiadał do Mosquita i na parę godzin wylatywał nad Niemcy. Oczywiście jak na klub przystało nie było mowy o locie w formacji, pod czyjemś dowództwem. Załoga każdego mosquita, złożona z dwu gentlemanów, leciała sama, naogół którędy chciała i dokąd chciała. Zwykle klubowcy latali nad Niemcy, specjalnie nęcił ich urok doliny Renu i Ruhry w świetle księżyca. Jednem słowem zostałem członkiem aeroklubu.

* * *

Jego oficjalna polska nazwa brzmi: 305 Dywizjon Bombowy Ziemi Wielkopolskiej imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego. Oczywiście ta złożona z dziewięciu słów nazwa jest zbyt skomplikowana dla naszych sprzymierzeńców, to też w organizacji Królewskich Sił Powietrznych dywizjon zowie się krótko: 305 Polish Squadron. Powołany został do życia rozkazem datowanym w Blackpool (tej historycznej bazie lotnictwa polskiego w W. Brytanji) 1 września 1940, a więc w czasie, gdy bitwa powietrzna o W. Brytanję w pełni gorzała. Po kilku miesiącach szkolenia w hrabstwie Nottingham, pierwsze załogi startują do lotu bojowego w nocy z 25 kwietnia 1941 r., którego to dnia rocznica będzie odtąd dorocznem świętem dywizjonu. Zadaniem bojowem tej pamiętnej dlań nocy było zbombardowanie zbiorników materjałów pędnych w holenderskim porcie Vlissingen, notabene dobrze znanym Polakom, którzy przed wojną podróżowali na trasie z Warszawy do Londynu. Ten pierwszy lot był stosunkowo łatwy: nie długi i nad terenem nicmasilniej bronionym. Następne tygodnie i miesiące przyniosły dywizjonowi loty coraz cięższe. Leży przedemną zestawienie miast niemieckich nad które w ciągu następnych lat wojny doleciały samoloty dywizjonu — niemal nie braknie na niem jednego większego miasta Niemiec. Dywizjon bombardował po wielekroć Dusseldorf, Duisburg, Dortmund, Akwizgran, Saarbrucken, specjalnie zawziął się na Kolonję, pastwił się nad Essen, odwiedzał Stuttgart i Karlsruhe, nie zapominał o Hannowerze, Osnabruck i Kassel, wziął udział w czternastu wyprawach na Hamburg, dwunastu na Bremę, jedenastu na Emden, bombowce jego dolatywały do Roztoki i Szczecina. Lotnicy dywizjonu mieli przyjemność, której nie zaznali nasi lotnicy we wrześniu: bombardować Berlin. Nawet raz polecieli nad okupawany przez Niemców Paryż — nie wyrządzili jednak ani jego zabytkom ani ludności szkody, jako że tym razem zrzucali nie bomby ale ulotki. Poprzez Alpy dolatywali do Turynu, tam jednak zrzucając na fabryki samolotów i czołgów już prawdziwe bomby.

Trzon personelu latającego dywizjonu stanowią w pierwszym okresie wojny zawodowi lotnicy z Polski, głównie oficerowie i podoficerowie z 3 i 5 pułków lotniczych — jedna z eskadr nosi też nazwę "Poznań", druga "Lida". Nie brak wśród nich nanych polskich lotników: ppłk. Skarzyński jest jednym z żołnierzy dywizjonu. Potem przychodzi nowe pokolenie lotników: ochotnicy z szerokiego świata, Polacy z Argentyny i Brazylji, Kanady, Amerykanie Polskiego pochodzenia ze Stanów Zjednoczonych, spieszą na zew Ojczyzny, nieraz między sobą mówią po angielsku, w dywizjonie dopiero będą sobie przypominać mowę swych przodków. Jednym z nich będzie 19-letni ochotnik z Chicago, Bronisław Godlewski, który w czasie wyprawy nad Ruhrę z myśliwcem niemieckim tak długo i uparcie będzie walczyć aż mu Niemiec odstrzeli obie ręce. Naczelny Wódz nada mu potem polski order wojenny.

W latach 1939 i 1940 ciężar prowadzenia wojny spada w głównej mierze na nasze wojska lądowe. W Polsce we wrześniu krwawi się około czterdziestu dywizji, we Francji i Norwegji w roku 1940 dwie dywizje i dwie brygady. Lotnictwo polskie jest wtedy stosunkowo niewielkie. Począwszy od jesieni 1940 . sytuacja się zmienia: ciężar prowadzenia wojny przez polskie siły zbrojne poza krajem przenosi się na lotnictwo. W latach 1941, 1942 i 1943 straty na-

szego lotnictwa tak w liczbach względnych jak bezwzględnych, wielokrotnie przewyższają straty naszej armji lądowej i marynarki wojennej. W czasie kampanji, libijskiej Brygady Karpackiej pada na pustynnych polach bitew pięciu ludzi na stu. Stan personelu latającego dywizjonu wynosi wówczas 60 ludzi. Lista strat w roku 1941 wyniosła 60 lotników, w r. 1942 zginęło ich 67. Rocznie straty wynosiły ponad 100 procent stanu! Gdyby nie stały dopływ uzupełnień, dywizjon w pierwszm roku przestałby istnieć.

Loty nad Niemcy wymagają wówczas wielkiej odwagi i wytrzymałości tak moralnej jak i fizycznej. Załogi musiały spędzać wiele długich godzin na wysokości kilkunastu tysięcy stóp nad ziemią, używając aparatów tlenowych, często nad morzem, wśród nocy, chmur i wichrów, w ciężkich powolnie lecących Wellingtonach, narażonych na ataki niemieckich myśliwców w drodze, a ognie zaporowe artylerji przeciwlotniczej nad celem. Gdy samolot został ugodzony pociskiem, szanse uratowania się załóg na spadochronach były niewielkie, w okresie czterech lat działań wojennych, zaledwie 18 lotników, którzy nie wrócili z operacji, zdołało uratować się w ten sposób. Zginął śmiercią lotnika w czasie lotu bojowego pierwszy dowódca dywizjonu ppłk. obs. Jankowski. Niemniej niektórzy lotnicy co ratowali się na spadochronach zdołali uniknąć niewoli, z okupowanej Europy odbyć raz jeszcze długą wędrówkę na wyspy Brytyjskie, powrócić do dywizjonu, i brać nadal udział w wojnie powietrznej nad Europą. A ci którzy uratowawszy się na spadochronach dostawali się do niewoli, nie tracili woli walki, ale usiłowali z niewoli uciec. Niektórym się to udawało, innym nie. W dniu 25 marca 1944 w wyniku zbiorowej ucieczki lotników aljanckich z jednego z obozów jeńców, Niemcy urządzili głośne już w cywilizowanym świecie zbiorowe morderstwo ujętych jeńców. Wtedy stracili życie dwaj lotnicy dywizjonu, porucznicy Pawluk i Kiewnarski. Wielekroć samoloty uszkodzone w czasie wyprawy bombowej, nie zdołały dotrzeć do wysp brytyjskich i musiały wodować w Morzu Północnem, walcząc nocą wśród jego zimnych fal, o życie. Dziewięciu z nich nie zdołało się wyratować. Śmierć w Morzu Północnem znalazł i zdobywca Atlantyku ppłk. Skarżyński.

Zdawałoby się, że tak ciężkie straty dywizjonu wpłyną na upadek ducha. Stało się przeciwnie. Chęć walki przemienia się w pewnego rodzaju fanatyzm. Wydawało się, że każden żołnierz dyonu pragnie zginąć za ojczyznę. Wymowny przykład tego daje postępek tłumacza i adjutanta dyonu, por. Krasnowieckiego, przed wojną spokojnego prokurenta śląskiego koncernu handlowego, starszego pana, męża i ojca. Nie może usiedzieć za biurkiem gdy noc w noc koledzy giną. W godzinach wolnych od zajęć biurowych uczy się celować ze sprzężonych karabinów i potem na ochotnika dwukrotnie leci z wyprawą bombową nad Niemcy jako strzelec pokładowy załogi Wellingtona.

Naczelny Wódz często w tych latach odwiedza dywizjon, dekoruje lotników orderami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych. Przyjeżdżają i dziennikarze brytyjscy i amerkańscy. Dziennikarzom anglosaskim wszystko się podobało w dywizjonie, ale najwięcej piesek Ciapek, maskotka dywizjonu. Dziennikarze nie mogli się nadziwić, że ten mały piesek jest taki dzielny, że dotarł z bombowcami tam gdzie oni jeszcze wówczas nie dotarli: nad Hamburg, Kolonję, Bremę. "Latający pies" w fotomontażach obiegł całą prasę brytyjską — takiego prasowego powodzenia jak on, żaden lotnik polski w Wielkiej Brytanji nie miał! Dzienniki angielskie podały nawet szczegół, że mechanicy nadali mu stopień st. strzelca. To wywołało oburzenie w Szkocji. Nie wśród rodowitych Szkotów, ale wśród naszych wojsk lądowych tam wówczas stacjonowanych. Znalazł się st. ułan, który listem otwartym w prasie protestował: "Czytałem w Dzienniku Żołnierza z dnia 12.X.42 artykuł "Starszy strzelec Ciapek" i bardzo mnie to zgniewało. Bo jestem starszym ułanem i uważam to za znieważenie armji polskiej wogóle, że się psom daje stopnie wojskowe. I to jak można wyczytać w prasie wyraźnie, całkiem oficjalnie. Dlaczego się tego psa nie mianowało oficerem a tylko starszym strzelcem? Napewnoby sobie panowie oficerowie takie wybryki stanowczo wyprosili, ale szeregowymi można poniewierać w ten sposób, bo nie ma się komu za szeregowym ująć. A czy psy meldunkowe, które w ogniu nieprzyjacielskim meldunki przenoszą, kiedy zostały awansowane? Ja jeszcze o tym nie słyszałem i chyba jeszcze nie było takiego wypadku, bo napewno sobie pies zawsze kiełbasę wybierze od papirka, który jego mianuje choćby generałem. Czy sobie z tego nie zdaje nikt sprawy przed naszymi Aljantami? A wroga propaganda co na to powie? Czy to nie jest świetny materjał ośmieszania naszej armji, gdzie się psów stopniami obdarza?"

W ciągu zimy 1943 na 1944 dywizjon przechodzi reorganizację: stary sprzęt zstąpiono nowym, powolne Wellingtony Michellami a potem śmigłymi Mosquitami. Z punktu widzenia oszczędzania cennego materjału ludzkiego zmiana była korzystną: Wellington wymagał sześciu lub pięciu ludzi załogi, Mosquito tylko dwóch. Przychodzi też nowa fala uzupełnień żołnierze z armi lądowej ze Szkocji, Rosji, Libji przybywają by wspomóc lotników. Starsi żołnierze, którzy przeżyli niejedno bombardowanie Luftwaffe we wrześniu w Polsce, w roku 40tym we Francji i Norwegji, potem w Tobruku, teraz chcą odpłacić Niemcom pięknem za nadobne. Starzy koledzy, którzy walczyli razem pod Narwikiem i Gazalą teraz będą razem zażywać nowych wrażeń nad Niemcami.

W lutym 1944 pierwsze loty operacyjne na Mosquitach rozpoczynają nowy okres historji dywizjonu. Podlega on już teraz nie jak dawniej Dowództwu Bombowemu, ale nowoutworzonemu Dowództwu Taktycznego Lotnictwa (T. A. F.) Dotychczasowa nazwa dywizonu — jako "bombowego" — odpowiada już teraz bardziej tradycji aniżeli rzeczywistości. Mosquito jest typem samolotu myśliwsko-bombowego, a zadaniem taktycznego lotnictwa jest zwalczanie nieprzyjaciela w rejonie frontu przy pomocy bombardowania oraz atakowania działkami i karabinami maszynowymi z lotu nurkowego. Na wiosnę 1944 r. dywizjon otrzymuje specjalne zadanie: niszczenia wyrzutni bomb latających, które Niemcy w tajemnicy budują w północnej Francji. Major Orliński, wsławiony ongiś raidem Warszawa-Tokio, który wkrótce obejmie dowództwo dywizjonu, bombarduje

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU
KSIĄŻKA

KAZIMIERZA
WIERZYŃSKIEGO

"POBOJOWISKO"
(PO POLSKU)

Cena $2.50

ROY PUBLISHERS

25 West 45 Street

New York 19, N. Y.

kiedyś wyrzutnię bomb latających z lotu koszącego tak nisko, że ziemia wpada do kabiny, nawet do nosa i uszu załogi, która po wylądowaniu w bazie ma twarze czarne jak murzyni.

Potem w maju dywizjon rozpoczyna bitwę inwazyjną. Polega ona mianowicie na niszczeniu nocami komunikacji niemieckich w północnej Francji, w której wylądują armje Eisenhowera. W dzień to same zadanie wykonują Tajfuny, Mustangi i Spitfiery. Wreszcie wieczorem 5 czerwca a więc w przeddzień "Di day" na normalnej odprawie przed lotem operacyjnym załogi dowiadują się wielkiej nowiny: za parę godzin rozpocznie się inwazja kontynentu. Tem intensywniej niszczą tej nocy komunikacje i miejsca postojów dowództw niemieckich w Normandji. W czasie następnych trzech miesięcy bitwy o Francję dywizjon pracuje pełnym wysiłkiem: załogi nieraz latają po dwa razy tej samej nocy nad kontynent. Praca dywizjonu sprowadza się do wspomagania amji walczących przez niszczenie systemu komunikacji na bezpośrednich tyłach nieprzyjaciela, bombardowanie dworców i torów kolejowych, mostów, pociągów, odwodów i wszelkich zaobserwowanych ruchów nieprzyjacielskich. Niezależnie od tego dywizjon otrzymuje zadania specjalne do wykonania w dzień jak np. zbombardowanie szkoły sabotażystów w Chateau Naulny oraz zniszczenie zbiorników z kilku miljonami galonów benzyny pod Nancy, benzyny, która miała wspomóc czołgi i samoloty niemieckie, biorące właśnie udział w decydującej bitwie o Francję.

Wojna przenosi się do Holandji i na linję Siegfrieda. Francja jest już wolna, to też dywizjon otrzymuje rozkaz przelotu do nowej bazy na kontynencie, gdzieś w północno-zachodniej Francji. Dywizjon od końca listopada operuje już z tej bazy, głównym terenem jego działalności intruderskiej jest teraz północna Holandja oraz Ruhra t. zn. zaplecze armji niemieckich walczących na froncie 21 brytyjskiej grupy armji, w skład której wchodzi i polska dywizja pancerna. W grudniu von Rundstedt rozpoczyna swą rozpaczliwą ofenzywę, marszałek polny Montgomerry obejmuje dowództwo zagrożonego odcinka i teraz i dywizjon 305 pracuje bojowo na rzecz armji amerykańskich broniących "wyłomu" w Ardenach. O intensywności pracy dywizjonu świadczy najlepiej fakt, że w noc wigiliną maszyny dyonu latały na front dwukrotnie, noc sylwestrową również załogi spędziły nad pogrążonymi w śniegu Ardennami.

Z końcem lutego dywizjon bierze udział w największym do owej chwili nalocie w hstorji świata. W dnu tym 7 tysięcy aljanckich maszyn niszczy komunikacje w całych Niemczech jak długie i szerokie. Dywizjon prowadzony przez dowódcę, majora Grodzickiego, w składzie 18 maszyn szykiem zwartym leci w rejon Hamburga i tam przez pół godziny atakuje pociągi, transporty na szosach, dworce kolejowe, barki na kanałach. Dziesięć maszyn wraca postrzelanych, w tem trzy maszyny na jednym motorze, jedna ląduje przymusowo w Niemczech.

W związku z przesuwaniem się frontu na Zachód, normalne loty załóg dywizjonu robią się coraz dłuższe, w marcu dochodzą już pod Berlin.

Straty dywizjonu są stale większe od nadchodzących uzupełnień, to też w ciągu ostatniego półrocza powiększa się stale ilość załóg niepolskich, w wyniku czego dywizjon już tylko w połowie jest polskim a w połowie staje się międzynarodowym. Jakich narodowości nie było lub niema w dywizjonie? Mamy obecnie Estończyka i Norwega: Hindus dosłużył się u nas Krzyża Walecznych, mieliśmy chłopaków z wysp Bahama i Zachodnich Indyj, mamy dwie załogi Kanadyjskie, Walijczyków, Szkotów i Anglików — wśród nich oryginalnego lorda. Widocznie pod wpływem tego międzynarodowego towarzystwa jeden polski kapitan z uporem twierdzi że jest Białorusinem. Nie potrzebujemy dodawać, ile dzięki temu współżyciu lotników różnych narodowości przyjaźni międzynarodowych zrodziło się w dywizjonie. Nieraz się zdarzyło, że lotnik cudzoziemski odwoływany z polskiego dywizjonu do swego macierzystego lotnictwa, prosił by go u nas pozostawić. Wątpić można, czy wśród aljanckich oddziałów walczących w drugiej wojnie światowej znajdzie się drugi, który w takim stopniu jak 305 dywizjon mógłby symbolizować współpracę Zjednoczonych narodów. Stosunki panujące w dywizjonie potwierdzają zdanie H. G. Wellsa, że specyficzny zawód lotników bardziej zbliża ich do siebie, aniżeli oddzielają różnice narodowości, że lotnicy są zatem przykładem zgodnie współpracujących obywateli przyszłego, lepszego wellsowskiego świata.

Obraz wkładu dywizjonu 305 w wojnę nie byłby zupełny, gdybyśmy nie podkreślili wysiłku i poświęcenia obsług ziemnych. Im personel latający zawdzięcza w dużej mierze pomyślne wyniki w powietrzu. Ogółem biorąc mechanicy dywizjonów polskich zdobyli sobie w Królewskich Siłach Powietrznych wyjątkową pozycję. Podobnie zresztą jak mechanicy Polscy w zakładach Forda. To samo da się powiedzieć o opinji jaką cieszą się mechanicy dywizjonu 305 w skrzydle angielskim, w skład którego wchodzi dywizjon. Oto przykład pracy naszych mechaników. Jednej nocy tej zimy skrzydło otrzymało rozkaz polecieć na operację, mimo ciężkich warunków atmosferycznych, śnieżycy i obmarzania samolotów na ziemi. Samoloty innych dywizjonów Skrzydła nie mogły jednak wystartować do operacji, ponieważ stojąc nie w hangarach ale na polu były obmarznięte. Polscy mechanicy tak cały dzień obchuchiwali, sprycowali glykolem swe maszyny, że wieczorem wszystkie co do jednej były zdolne do lotu. Może nie jest przypadkiem, że angielski dowódca Skrzydła oddał swój operacyjny samolot pod opiekę polskiego dywizjonu.

Wtorek 24 kwietnia, o godzinie 8:30 wieczór

TOWN HALL

WANDA LANDOWSKA

i

ZESPÓŁ KAMERALNY

DAWNA MUZYKA POLSKA

i

MUZYKA LUDOWA

W programie: Utwory instrumentalne Jarzębskiego i Szarzyńskiego, Polskie Tańce XVII i XVIII wieku, Polskie pieśni ludowe w układzie Wandy Landowskiej na zespół kameralny, oraz utwory Bacha, Couperina, Rameau i Mozarta powstałe pod wpływem muzyki polskiej.

Bilety w cenie od $1.20 do $240 w kasie sali, lub u David Libidins, Management, 113 West 57 St., New York 19, N. Y.

De Gaulle And The Freedom Of Europe

Amid the clouds and darkness hanging over postwar future, amid the frightening visions of wnat this future may be if based on the decisions made up to now — the statesmen strain their thoughts and millions of people strain their feelings and imagination in search for some sign of a possible change, some still active source of humanity, freedom and genuine culture, sources of light capable of conquering the darkness.

Neither the press nor any other public enunciation has ever stressed strongly enough the unrefuted fact that the instinct of those cruely disappointed, freedom hungry millions turns with mystic faith and more and more persistance to France, to the country from which for two centuries they have derived the benefits of freedom, humanity and art.

We say "mystic faith", because it is natural that France's defeat in 1940, as weil as the three years of organized military and mental surrender, the present devastation of the country, the completely new alignement of world powers now coming into being, have made France's strength as a political power and her intellectual world leadership not only a thing of the past but one of a remotely legendary realm.

It our faith in France persists and even increases in spite of her defeat and present difficulties, if we expect from her acts of strength which apparently she is unable to perform in her present situation, it is because of our faith in those higher values, in the name of which the anti-Germanman coalition has been organized and has been fighting and which are threatened to-day just as they were threatened at the beginning of the war.

These ideals which in Yalta allegedly have been surrendered to the so-called "Realism", but actually to shortsighted power politics had met defeat before this, and in no other place but France. The first great moral defeat of democracy in this war was Petain's capitulation. Before freedom, humaneness and democracy were mortally stabbed in Yalta, they had been defeated in Compiegne on the day when Petain surrendered to Hitler.

In still believing in France, in hoping that her genius will conquer her own weakness and will let her fulfill her historic mission, we believe above all in France's internal change, in that work of political and moral renaissance started and stubbornly continued by General de Gaullo in spite of immense difficulties. We believe in France because we think that the period between the two wars culminating in that deplorable capitulation is a thing of the past, that General de Gaulle is consistently and unyieldingly weeding out the pernicious delusions and weaknesses of that period, and is rebuilding a new France.

If we consider the work of this great man not from the view point of political tactics, necessarily changeable — the more unexpected they are the more creative — but from the viewpoint of his ultimate aims, we see that General de Gaulle's entire activity has never aimed at ephemeral successes, seemingly easily won and yet actually so dearly paid for or at profitable but debasing compromises. Instead he aims at those higher ideals so hard to achieve which, in the past, have been the most vital foundation of France's strength and of her great historic tradition.

We all still recall those times, not so far back, when several contradictory roads were open to a France seeking liberation and co-operation with the Allies, when she was tempted by these very Allies into those debasing compromises. We recall Darlan's policy and its tragic end. General de Gaulle refused to enter those crooked paths without a moment's hesitation. He knew that France's political defeat was the result also of her spiritual illness, that all efforts of rebuilding a strong France would be to no avail unless she was morally reborn and once more allowed to taste of responsibility, truth and sacrifice.

Following this hard road in spite of France's low-spirited though sincere friends who warned him of a possible internal defeat, he found the way to the very essence of his people's character, to its conscience which clamred for this internal purification.

Often misunderstood as far as tactics were concerned, often criticied for the choice of his collaborators, General de Gaulle is to-day beyond any doubt the supreme embodiment



GEORGES MANDEL

Jeden z najnieustępliwszych patryjotów francuskich Georges Mandel, współpracownik wielkiego Clemenceau, minister spraw wewnętrznych w ostatnim przed kapitulacją rządzie, był więziony przez Niemców i zamordowany nakrótko przed zajęciem Francji przez Aljantów. Zwłoki jego ekshumowano i pochowano uroczyście. Fotografja nasza przedstawia maskę pośmiertną Mandela.

of true France, her leader recognized by all.

By showing so strong a character, by accepting only so high a conception of his role inside his country, by incorporating so boldly his most idealistic aims into his reforms, General de Gaulle in spite of all material premises has almost succeeded in returning France to her old international significance. To-day, only four years after Petain's surrender, de Gaulle has become one of the arbiters of world politics. How he conceives his role and on what premises France, led by him, will base her new strength and permanent signficance in the world is best told by Mr. Bidault's declaration. He states that France does not wish to be one of the inviting nations in San Francisco because she wants to preserve her prerogative to act in her traditional role of defender and spoesman for the medium and small nations of Europe.

This declaration may become historic. It may mean a turning point in the world's blind rush toward a new catastrophe. But it must not be sold for any profits in prestige or become the purchase price of vital profits for France alone. It must be the beginning of the French policy based on the historic truth that a free France may not exist without a free Europe.

After the experiences of the last 25 years it is not hard to prove by unrefutable facts that France hounded by England, shortsighed and passive lost her great importance and contributed to war because she failed to seriously study her historic mission and to learn how to perform it. — France was not lost solely by bad leaders and selfish bougeoisie, but also by her cynical politicians who neither believed in the great words they wore on their lips nor knew how to fight for them.

France's new role in the world which General de Gaulle is planning for her is to defend freedom and to introduce the new social system for which the whole world is waiting. This new system will mean progress and true freedom if founded on these thoroughly French ideals of liberty, individual dignity and social order.

This highly idealistic mission of France is at the same time her only road to power and to essential security. Only by leaning morally on a Europe faithful to the ideals of freedom can France remain a great power and become a true partner in the new world hierarchy.

General de Gaulle whom fate saved from the Pyrrhic honor of participating in the Crimean pact and who thus is not encumbered by a past non-conforming with the principles of freedom is destined to perform an important historic mission. This could not have been predicted five years ago, when, as a newly appointed general, backed by no more than a few score thousand soldiers, he was fleeing from treason and infamy.

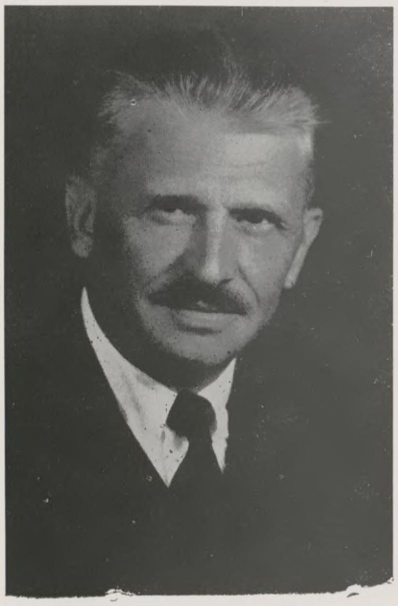
He will fulfill his mission, from a great French statesman he will grow to be the Prometheus of his people, and creator of its new power, he will be the first builder of a new Europe, if in the defense of the freedom of the whole world, he will show the same morality without compromise, the same idealism by which he saved France from defeat and infamy.

Członkowie Delegacji Zarządu Kongresu Polonii, która protestowała w Waszyngtonie przeciw rozbiorowi Polski

(na jej czele stał prezes Rozmarek, patrz fotografja w No. 12)



Płk. Dr. Teofil Starzyński



Franciszek Januszewski



Mec. Stanisław Gutowski



Ignacy Nurkiewicz

OPINJE I ZDARZENIA

POMYŁKA NIETYLKO STYLISTYCZNA

Zdumiewająca formuła, użyta w pakcie krymskim a mówiąca o rządzie polskim, złożonym z przedstawicieli stronnictw antyfaszystowskich została obecnie rozszerzona przez pana Stetiniusa w jego ostatniem przemówieniu, która zapowiada, że w wyborach t. zw. "wolnych", które mają się dokonać pod bagnetami moskiewskiemi w Polsce mają prawo uczestniczyć wszyscy Polacy-antynaziści. Pozwalamy sobie zapytać się bardzo uprzejmie "Co to znaczy?" Bo zdawało się, że cały świat dowiedział się już, że Polska była jedynym krajem, w którym wogóle nie było elementów pronazistowskich i że zapłaciła za to męczeństwem kilku miljonów swych obywateli.

Przecież w Stanach Zjednoczonych żyją jak wiadomo bardzo różne elementy. Nie jest to żaden sekret, że poza jawnemi izolacjonistami wielu Amerykanów niemieckiego pochodzenia sprzyjało i sprzyja Niemcom po cichu. Czy próbowano podać w wątpliwość ich prawa obywatelskie, czy nie głosowali oni przy wyborach na prezydenta Stanów, czy nie głosują do Kongresu i Senatu? Czy gdyby pod pretekstem, że istnieją Amerykanie, którzy sprzyjają Niemcom zaczęto wystawiać w Stanach pątenty antynazizmu nie byłoby to obelgą dla całej Ameryki, która tak wspaniale walczyła z Niemcami?

I czyż nie jest to obelgą dla Polski, jak powtarzamy, jedynego kraju, gdzie niema wogóle pronazistów — skoro mówi się o partjach antyfaszystowskich — a więc suponuje się, że są i inne?

Na takich, między innemi, drobnych napozór lapsusach, jak supozycja, że w Polsce są pronaziści, że więcej, są oni tak liczni, iż należy ich wyłączyć od prawa wyborów, zbudowana jest cała wołająca o pomstę do nieba krzywda narodu polskiego, który jest dziś potraktowany nie narówni z Niemcami, ale gorzej od nich.

Dlatego też ludzie, którzy napewno nie chcą obrażać narodu polskiego i nie pragną jego krzywdy — powinni strzec się pomyłek, napozór tylko stylistycznych a w gruncie rzeczy bardzo politycznych.

POTRZEBA CZYŚCICIELI
do dużego budynku biurowego.
Stała nocna praca. $31 tygodniowo wraz z "overtime", również potrzeba pracowników na kilka godzin. Zwrócić się do superintendenta.
52 Wall Street, New York, N. Y.

ŻAŁOBNA KARTA LITERATURY POLSKIEJ

Na liście zmarłych w Polsce pisarzy przybyły dwa nowe nazwiska Stanisław Wyrzykowski i Marja Rodziewiczówna.

O Rodziewiczównie, bardzo rzetelnej i bardzo społecznie cennej powieściopisarce, której utwory miały w Polsce popularność niezwykłą — krążyły pogłoski, że cudem prawdziwym wydostała się z kraju i znajduje się w Indjach. Najwidoczniej, jak przypuszczaliśmy, była to plotka oparta na nieporozumieniu. Rodziewiczówna zmarła w bardzo podeszłym wieku, do końca czynna jak przez całe życie.

Stanisław Wyrzykowski poeta-symbolista, krytyk sumienny i tłumacz poetów francuskich — brał żywy udział w ruchu literackim w okresie "Chimery", której był jednym z naj-

"Nigdy nie przypuszczałam, że krem tyle zdziałać może!"



Heleny Rubinstein

ESTROGENIC HORMONE CREAM

3.50

Preparat oparty na naukowych doświadczeniach, stworzony dla Was, które tęsknicie za młodocianym wyglądem. Zawiera hormony estrogeniczne — równoważnik substancji tak obfitej w młodości, lecz zanikającej z wiekiem. Wyrabiany pod ścisłym, osobistym nadzorem wielkiej powagi w dziedzinie urody kobiecej, *Heleny Rubinstein "Estrogenic Hormone Cream"* dopomoże Wam osiągnąć piękność skóry, opóźniając działalnie lat. Zapas na 30 nocy kosztuje $3.50 i 20 procent fed. tax.



helena rubinstein

Na składzie we wszystkich pierwszorzędnych sklepach

wybitniejszych współpracowników jak też przez całe życie był satelitą artystycznym Miriama.

W niepodległej Polsce Wyrzykowski przez długie lata trzymał się na uboczu od ruchu artystycznego, pracując w Departamencie Sztuki na jednem z naczelnych stanowisk. Na parę lat przed wojną, próbując sił w nowym dla siebie rodzaju, napisał powieść historyczną z czasów Dymitra Samozwańca pt. "Moskiewskie gody".

STRONNICTWO PRACY

Jak wiadomo w Stronnictwie Pracy w Londynie dokonał się rozłam, polegający na tem, że część przedstawicielstwa zagranicznego partji popiera rząd Arciszewskiego, część zaś — tęskni do pana Mikołajczyka i żąda aby pp. Sopicki i Kuśnierz wyszli z rządu. Ważne jest wobec tego stwierdzić, że obaj ministrowie rządu Arciszewskiego — jeszcze w roku 1937 należeli do Zarządu Głównego Stronnictwa w kraju, że gen. Józef Haller popierający ten rząd jest od 1937 roku prezesem Rady Naczelnej Stronnictwa, że zaś z drugiej strony Ksiądz Zygmunt Kaczyński został do władz Stronnictwa dokooptowany na emigracji, dwaj zaś członkowie Rady Narodowej, znajdujący się w opozycji do rządu Ksiądz Pyszkowski i Dr. Haget nie należeli wogóle do Stronnictwa przed wojną.

PAN MOCZULSKI NA ZIELONEJ TRAWCE

Kierownik nowojorskiej filji Polskiej Agencji Telegraficznej pan Roman Moczulski nagle pewnego kwietniowego poranka został usunięty ze stanowiska. Dla nikogo nie było tajne oddawna, że pan Moczulski należy do wielbicieli najściślejszej przyjaźni polsko-rosyjskiej, polegającej na oddaniu przez Polskę Rosji wszystkiego czego ona żąda. Dużo trzeba było jednak, by odpowiednie władze przekonały się, że pan Moczulski, pobierając polską pensję, służy też i innym bogom.

Objawienie się tej prawdy było podobno tak namacalne i tak efektowne, że pan Moczulski w jednej chwili z bardzo wysokiego piętra w Rockefeller Center sprowadzony został na zieloną trawę w Central Parku.

Pan Moczulski pociesza się napewno myślą, że przyjdą inne czasy i inni ludzie, którzy wynagrodzą mu ową przykrą chwilę, przeżytą z miłości do pana Bieruta i pana Langego. Ale czy pan Moczulski czasem się nie myli, czy czasem nie łudzi się, licząc, że różne przejściowe konjunktury ustalą się jako nowy porządek świata, a przedewszystkiem skąd jest tak pewny, że Sowiety będą potrzebowały takich jak on urzędników. Czy los jego protektora pana Litauera, przyjętego przez bolszewików jak pies w kręgielni — nie nasuwa mu żadnych złych przeczuć?

Bo co do nas, to trzech groszy byśmy nie dali za przyszłość Pana Romana Moczulskiego i różnych panów Moczulskich.

PODZIĘKOWANIE

Inż. Bolesław Zubrzycki autor artykułu "Rękopis znaleziony w Prowancji" zamieszczonego w No. No. 11 i 12 "Tygodnika Polskiego" składa podziękowania Polskiemu Instytutowi Naukowemu za pomoc w sporządzaniu bardzo kosztownych odbitek fotograficznych, potrzebnych do tegoż artykułu.

LISTA OPIEKUNÓW "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Cały szereg przyjaciół naszego pisma wspomógł "Tygodnik Polski" materjalnie, powiększając na przestrzeni od sierpnia 1944 do dzisiaj grono naszych opiekunów i wstępując do "Towarzystwa Przyjaciół Tygodnika Polskiego". Podając ich listę dziękujemy im najserdeczniej za tak wydatne poparcie naszych usiłowań i tak hojną ofiarność.

Oto ich nazwiska:

Ks. S. Bartkowski, New Britain, Conn.	$100.00
Ks. J. Bartlewski, Thompsonville, Conn.	10.00
Siostry Bernardynki, Philadelphia, Pa.	20.00
W. Bitner, NYC	25.00
Ks. B. A. Bojanowski, Worcester, Mass.	100.00
Mr. G. H. Burr, NYC	100.00
S. Czarnecki, NYC	100.00
Alfred Falter, NYC	100.00
Ks. A. Fronczak, Wallington, N. J.	100.00
Ks. B. E. Góral, Milwaukee, Wis.	100.00
Ks. J. W. Gryczka, Kingston, Pa.	25.00
Ks. F. J. Karabasz, Chicago, Ill.	10.00
Jan Karski, NYC	150.00
Ks. F. K. Kempiński, Adams, Mass.	100.00
Ks. F. Kowalczyk, Passaic, N. J.	100.00
Leon Kozłowski, Union City, N. J.	100.00
Michał Kranc, NYC	100.00
Ks. K. Krysiński, Chicago, Ill.	50.00
Ks. J. Kuczyński, Philadelphia, Pa.	10.00
Stefan Łodzieski, Lakewood, Ohio	100.00
Ks. Marcin Lipiński, Trenton, N. J.	15.00
Dr. L. Mallek, Pittsburgh, Pa.	25.00
Ks. S. Musieł, Hartford, Conn.	100.00
Uczennice SS. Nazaretanek Chicago, Ill.	25.00
Ks. St. Niedbalski, Erie, Pa.	25.00
Lucjan Nowiński, Bayonne, N. J.	50.00
Ks. P. Piechocki, Middletown, Conn.	10.00
Fr. Rejenkowska, Mamaroneck, N. Y.	10.00
Artur Rubinstein, NYC	200.00
Ks. W. A. Sikora, Salem, Mass.	100.00
Ks. S. W. Trepczyński, Detroit, Mich.	10.00
Mrs. B. Warren, Essex, Mass.	100.00
Leopold Wellisz, NYC	100.00
Józef Witenberg, NYC	25.00
Karola Zagórska, Detroit, Mich.	10.00
August Zamoyski, Rio de Janeiro	50.00
Anonim, NYC	100.00
Anonim, NYC	10.00
Anonim, NYC	10.00

W następnym numerze podamy sprawozdanie z zebrania organizacyjnego "Towarzystwa Przyjaciół Tygodnika Polskiego" i rezultaty wyboru władz Towarzystwa.